



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: STRASZLIWY JUBILER CZYLI RZECZ O PERCEPCJI

Autor polskiego filmu sensacyjnego „Mokry szmal”, Gerard Zalewski, stwierdził w wywiadzie dla „Filmowego Serwisu Prasowego”, że stara się bardzo poważnie traktować widza, szczególnie, gdy należy on do innego pokolenia. „Mam na myśli - mówił - uczniów szkół licealnych, zawodowych, a także studentów, ale nie członków DKF-ów, lecz przeciętnych widzów kinowych”.

Otóż nie jestem pewien, czy „uczniowie szkół licealnych” (oraz innych) nie woleliby raczej oglądać czegoś w rodzaju „Francuskiego łącznika”. I mam tu na myśli nie jakieś tam zachodnie, wstrętne kapitalistyczne, gangsterskie trele-morele, ale po prostu dobrze zrobiony film akcji, z przejrzystą, zrozumiałą dla widza fabułą oraz logicznymi konsekwentnie wynikającymi i łączącymi się sytuacjami. Uczniowie szkół licealnych, a nawet uczniowie szkół stopnia podstawowego, po lekcji kina, jakie wynieśli chociażby z całej torii „gwiazdnych przygód” księżniczki Lei i Hanna Solo, potrafią dzisiaj dość łatwo odróżnić dobry obraz filmowy od marnego. Niezależnie od tego, czy fabuła umiejscowiona jest w scenerii Nowego Jorku, czy też Parczewa albo Radzyna Podlaskiego. Fakt, że Gerard Zalewski dokonał swoistego testu „na zainteresowanie” filmem wśród trzydziestu młodych ludzi, z których „jedynie czterech widzów wyraziło się o filmie sceptycznie”, w niczym nie zmienia moich własnych obserwacji, że ani młodzież licealna, ani studencka jakoś nie bije się pod kinami o bilety na „Mokry szmal”.

Ale może ów brak młodzieżowego entuzjazmu dla „Mokrego szmalu” wynika z tego samego, co nurtuje dziennikarza „Filmowego Serwisu Prasowego”? „Filmowa logika wydarzeń - wtrąca on w pewnej chwili - jest w niektórych momentach naciągana. Niejednokrotnie widz musi zaakceptować zdumiewający splot wypadków”. „A jednak jestem w stanie udowodnić - replikuje twardo reżyser - że zdarzenia są ze sobą zgodne i wzajemnie z siebie wynikają. Może - dodaje jednak - niektóre z nich zostały przedstawione w niedobrym dla uwagi widza momencie percepcyjnym i przez to wydawać się mogą przypadkowe”.

No i proszę, wszystko jest jasne jak słońce! Kiedy oglądałem „Mokry szmal”, moja uwaga znalazła się akurat w „niedobrym momencie percepcyjnym”! I to jest wytłumaczenie, dlaczego nie mogłem połączyć się w wielu miejscach, o co chodzi w filmie. Bo gdybym znajdował się w „momencie” odpowiednim, to by mi percepcja grała jak orkiestra na defiladzie i wyszedłbym z kina zachwycony...

Ale znowu: jeżeli potem, czytając w „FSP” streszczenie fabuły „Mokrego szmalu”, nadal nie mogę do końca doszukać się konsekwencji w ciągu przedstawionych zdarzeń i wypadków, to komu tutaj percepcja nawaliła: mnie czy też redaktorowi Markowi Drabikowi, kiedy dokonywał owego streszczenia?

No bo tak: bez trudu udaje mi się odczytać główną ideę „Mokrego szmalu”, jako filmu quasi-propagandowego. Uzmysławiającego dosadnie młodym ludziom, że jeśli już bliska osoba popadła (przez swą młodzieńczą niefrasobliwość) w tak zwaną kolizję z prawem, należałoby natychmiast udać się do organów ścigania po pomoc. A nie - tak jak tutaj prowadzić samemu dochodzenie wśród świata przestępczego, bo to się zawsze źle kończy dla „zainteresowanego”, i wreszcie uczciwy detektyw-amator topi się na śmierć w basenie portowym, a grandusy, zbir i dranie szczęśliwie (dla siebie) unikają kary.

Podoba mi się też nowatorskie założenie, że brat dobry i uczciwy kocha brata upadłego i gotów jest na wszystko, nawet na własną śmierć, byle go tylko uchronić przed odpowiedzialnością prawną (niech tamtego leją bandziory, niech mu rozkwaszają gębę, wybijają oko, niech go więżą - dobry brat, w trosce o niego „nie da znać na milicję”). Zachwycony także jestem pomysłowością scenarzysty, z jaką rysuje on demoniczną sylwetkę jubilera-prywaciarza (!) z gdańskiego Starego Miasta; nie tylko robiącego legalnie wielki szmal w swej pracowni biżuterii z bursztynu, ale jeszcze na dodatek korzystającego z usług miejscowych młodych przestępców w celu zdobywania surowca. I to – nasyłając ich na współpracowników wstrętnego dyrektora prywatnej (!) firmy, ponurego (choć eleganckiego) draba po pięćdziesiątce, trudniącego się – poza prowadzeniem własnego interesu – przewalaniem (dokąd?) nielegalnie skupowanego bursztynu. Cieszy mnie niewymownie, kiedy dyrektor napuszcza z kolei swoich zbirów na strasznego jubilera Lasonia, (choć nie bardzo mogę się już tu połączyć w logice akcji niszczenia jupiterowego dobytku). A dostaję gęziej skórki z wróżenia, gdy dowiaduję się, jak łatwo porwać pacjenta ze szpitala, podając się po prostu za jego rodzinę.

Co do zarzutów. Po pierwsze - nie mogę zrozumieć, dlaczego reżyser - gdy urocza dziewczyna zdejmuje z siebie nocną koszulę i wchodzi pod prysznic z głównym bohaterem, aby się z nim razem namydlić - robi cięcie montażowe i przechodzi do innej sceny? Po drugie - po co bohater filmu nakłania swego przyjaciela-fotografika do zrobienia serii reporterskich zdjęć członków „bursztynowego gangu”, w trakcie przekazywania „towaru”, skoro nie ma

zamiaru zawiadamić milicji o tym, co się wydarzyło z jego bratem? Po trzecie - dlaczego bohater ucieka, jak kto głupi, autem poprzez ulice Gdańska, aby w końcu dać się zepchnąć przez ścigającego do kanału portowego: i po co dyrektor-gangster z taką zajadłością go goni, skoro złapanie uciekającego nic by mu przecież nie dało?

Mógłby na to może odpowiedzieć reżyser autorytatywnie, słowami ze swego wywiadu: „W tym gatunku jest to dopuszczalne. Nie mamy, bowiem do czynienia z filmem psychologicznym, w którym fakty muszą być bliskie prawdzie społecznej czy psychologicznej. [...] Pewne uproszczenia są konsekwencją przyjętej hierarchii wartości. [...] Nie żałuję pewnych niedociągnięć, traktuję je, jako „koszty uboczne zdarzenia” i bardzo się cieszę, że ten film powstał”.

Autor niniejszego felietonu cieszy się znacznie mniej.

Pierwodruk: „Kamena”, 1986, nr 9, s. 10.